

## Janusz Leśniewski – fragmenty pamiętnika; lata 1945-52.

### Podróż do Szczytna

(...) Był koniec listopada 1945 r. Pokonaliśmy koleją trasę z Wągrowca do Olsztyna. W niezrujnowanej części dworca kolejowego w Olsztynie musieliśmy czekać na pociąg do Szczytna. Znowu Sowieci mieli zamiar nas ograbić. Kilku maruderów zaczęło przyglądać się naszym walizkom i pytali, czy ciężkie. Czy nie pomóc? Niespodziewanie pojawili się czekiści (funkcjonariusze założonego przez Feliksa Dzierżyńskiego Czerezwieczajnowo Komiteta NKWD, w okrągłych czapkach z niebieskimi otokami). Ścigali kogoś i wyłapali przy okazji na dworcu sowieckich maruderów – złodziei. Trzeba przyznać, że działali nadzwyczaj szybko. Wyprowadzili pojmanych z budynku, wylegitymowali, zdarli dystynkcje – zerwali pagony i bez żadnego sądu aresztowali. Czekaista był policjantem, prokuratorem, sędzią i katem w jednej osobie. Pozostali sowieccy żołnierze zachowywali się na stacji kolejowej od tego zdarzenia przez resztę nocy spokojnie, nic nam nie ukradli i do rana nic nie zaszło.

Na stacji w Olsztynie Sowieci urządzili banię, czyli odwyszalnię. Twierdzili, że u nich jest wyższa kultura niż u Amerykanów. Amerykanie, według nich, mieli dobrą technikę, ale kultury nie, bo nie mieli odwyszalni. Zainteresował mnie także napis „kipiatok”, wywieszony na ścianie. Otóż kipiatok – wrzątek był wydawany bezpłatnie potrzebującym. Czy rzeczywiście był to wrzątek, czy tylko gorąca woda, nie sprawdziliśmy.

Wreszcie rano podstawiono pociąg do Szczytna. Jechał nawet szybko przez Klewki (sławne po enuncjacjach Leppera o talibach), Marcinkowo, Pasym i Grom. Na stacji kolejowej w Szczytnie czekał na nas woźny, Pan Strzemieczny z wozem zaprzęgniętym w jednego konia. Tata i woźny załadowali, z moją, a jakże, pomocą, nasz dobytek i dotarliśmy do mieszkania na pierwszym piętrze przy ul. Gomułki 7. Od 1949 ta ulica zmieniła nazwę na Waryńskiego, a muszę zwrócić uwagę, że moi Rodzice lubili nr 7. Od 2010 roku nosi nazwę ks. Władysława Łaniewskiego – mojego katechety.

### Nauka w Szczytnie

Rozpoczęło się normalne życie i nauka w szkole. Szybko w czwartej klasie wyszedłem na prowadzenie, pomimo że wszyscy moi koledzy byli starsi. Początkowo uczyła nas Pani Wyrzykowska, a później Pani Halina Nizińska – bardzo sympatyczna osoba, jednak chora na gruźlicę, której nabawiła się w Sowietach. Inni nauczyciele to Pani Hercogowa, siostra Pani Nizińskiej, pan Piątkowski, pan Zaorski, ksiądz Władysław Łaniewski katecheta, a kierownikiem Szkoły Podstawowej była Pani Mozdorfowa. Pamiętam naszą wyprawę całą czwartą klasą wiosną 1946 roku do lasu po świeże pędy sosny, z których wywar miał być lekarstwem dla naszej ulubionej Pani. Niestety, nie okazał się skuteczny.

Ze względu na dużą różnicę mojego wieku i kolegów pod wążem, musiałem wykazywać elastyczność w postępowaniu, aby nie obrywać cięgów. Pomagałem niektórym kolegom odrabiać lekcje i miałem szybko swoją partię. Pewien wpływ na moją pozycję miała posada mojego Ojca – dyrektora Liceum Ogólnokształcącego. W Szkole Podstawowej jednak nie miało to decydującego znaczenia. Musiałem z różnym skutkiem radzić sobie samemu.

W piątej klasie byłem już zdecydowanym prymusem. Same moje chęci i pracowitość nie dałyby takiego efektu, jaki zapewniała mi pomoc matki. Ojciec pracował od rana do nocy i tylko w niedzielę mogłem z nim rozmawiać.

W 1947 roku zaczęła funkcjonować jedenastolatka. Mój ojciec został, pomimo odmowy przystąpienia do PPR, jej dyrektorem, ponieważ nie było innego kandydata posłusznego PPR. Kierownikiem podległym ojcu dla klas od 1 do 7 została Pani Mozdorfowa. Rodzice zastanawiali się, co ze mną robić. Szczęśliwie dla mnie ustalili, że rozpocznę naukę w klasie „wyrównawczej”. Tak się też stało. Przeskoczyłem, więc klasy 6. i 7. i musiałem w ciągu roku opanować materiał klas 6., 7. i 8. Na początku z wielkim trudem, ale z pomocą mamy coraz lepiej sobie radziłem i kończyłem klasę ósmą na dobrej pozycji. Moim konkurentem był Andrzej Rządowski, bardzo zdolny i nadzwyczaj pracowity uczeń. Jednak, być może, współzawodnictwo ze mną spowodowało, że kolega się przepracował i trafił na rok do szpitala dla nerwowo chorych. Miał wcześniej bardzo ciężkie wojenne przeżycia i to także wywarło wpływ na jego psychikę. Niemcy zamordowali mu ojca. Matka razem z nim była na robotach w Prusach Wschodnich niedaleko Szczytna. (...)

Chociaż wszędzie obowiązywała nieoficjalnie nauka języka rosyjskiego, to jednak w mojej klasie uczyliśmy się łaciny i języka angielskiego. Nauczycielką była starsza pani, Teresa Trzaska. Miała ulubionego spaniela Joka. Podczas lekcji piesek siedział cicho u nóg swojej pani. Czasami niektórzy niesforni koledzy usiłowali go straszyć. Udawało mi się ich zakusy neutralizować. Pani Trzaska była wcześniej guwernantką i nauczycielką języka angielskiego u Potockich w Olyce. Dodatkowo prywatnie uczyła mnie angielskiego. Pani Maria Kiste von Kister była baronową z Kurlandii (obecnie Łotwa). Pracowała jako sekretarka w szkole pielęgniarek. Podczas II Wojny Światowej trafiła do łagru w Sowieciech. Udało się jej wydostać z tej matni i razem z wojskami polskimi dotarła do Iranu. Stamtąd jako opiekunka grupy polskich dzieci wyjechała do RPA. Bodajże nieopodal Johannesburga spędziła kilka lat. Wróciła do Polski, by się dowiedzieć, że Sowieci zamordowali w Katyniu jej męża. Z Afryki przywiozła trochę oryginalnych ludowych wyrobów murzyńskich. Były to makaty, tarcze wojenne i dzidy. Była to bardzo miła, bezdzietna pani. Sprezentowała mi kieszonkowy słownik angielsko-polski i polsko-angielski, wydany w 1928 roku Chicago. Autor - Smulski. Był to bardzo dobry prezent, ponieważ wówczas uzyskanie takiego słownika w Polsce nie było łatwe.

W klasie dziewiątej znowu wyszedłem na prowadzenie, a Andrzej przebywał w tym czasie w szpitalu. Miałem wtedy 13 lat i do matury było tylko 2 lata. Pod koniec dziewiątej klasy, podczas pobytu wizytatora, zabłysnąłem wiadomościami, ale kiedy zapytał mnie, ile mam lat, poradził Ojcu, żebym pozostał na drugi rok w IX klasie. Rodzice, także z uwagi na ciężkie przeżycia mojego kolegi, zdecydowali, abym przyhamował mój pęd do wiedzy. Gdyby nie to, maturę bym zdawał w wieku piętnastu lat. Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Rozpoczęcie studiów w roku 1951 nie byłoby szczęśliwe. Będąc drugi raz w dziewiątej klasie poznałem uroczą, młodszą o rok koleżankę Tereskę K., wówczas uczennicę siódmej klasy. Jednak moja sympatia nie została odwzajemniona, a ona w 1950 roku wyjechała ze Szczytna, odmawiając mi nawet podania adresu.

Powtarzanie klasy nic mi nie dało, bo nie bardzo chciało mi się uczyć. Uzyskałem gorsze wyniki niż w poprzednim roku. Jednak do klasy wrócił Andrzej i miałem znowu dobrego współzawodnika, który był bezkonkurencyjny w nauce języków obcych, ale nauki ścisłe nie były jego tak mocną stroną. Łacinę i angielski opanowałem jak trzeba, ale Andrzej uczył się dodatkowo niemieckiego, który znał nieźle z czasów wojny, rosyjskiego i francuskiego. Ja za to uprawiałem wszystkie sporty, jakie można było wtedy uprawiać, z żeglarstwem i boksem włącznie. Maturę ukończyłem z dyplomem Przodownika Nauki i Pracy Społecznej. Uzyskałem najwyższą ocenę. Dyplomy otrzymali także Andrzej i koleżanka Maria Rykowska. Oboje zostali znakomitymi lekarzami medycyny.

### **Fragmenty historii Szczytna**

(...) Dzięki mojemu Ojcu zamek można do dzisiaj oglądać w takim kształcie jak przed 1945 r. Otóż w maju 1945 r. w Szczytnie mieszkało tylko kilkuset cywilów. Niemcy opuścili Szczytno pod koniec 1944 r. i w pierwszych dniach stycznia 1945 r. na rozkaz Hitlera, poganiani przez SS. Pozostało trochę mazurskiej biedoty w chatynkach nad Jeziorem Małym Domowym i na przedmieściach. Napływała z Polski ludność, początkowo z terenów pogranicznych, później repatrianci zza Buga i oczywiście szabrownicy. Koszary były do 1947 roku pełne sowieckich wojaków. Obok szkoły, w budynku Straży Pożarnej, mieściła się Sowiecka Wojskowa Komenda Miasta. Sowieci zapewne za zgodą swoich władz, systematycznie podpalali w 1945 roku zdobyte prawie bez walki miasto. Metoda była prosta. Rozpalali w kolejnych mieszkaniach ogniska, których nikt nie gasił. Chcieli spalić także zamek i tylko przypadkiem, podłożony ogień – kilka płonących snopków słomy - zauważył mój ojciec, który szedł wtedy w towarzystwie Pana Waltera Późnego – późniejszego posła na Sejm oraz Pana Leyka – mazurskiego działacza, prześladowanego przez Niemców. Wszyscy trzej ugasiли ogień i złożyli meldunek w Wojennej Komendzie Miasta. Podpalaczy nie ujęto.

W budynku mojej szkoły przy ul. Kasprowicza do końca czerwca 1945 r. mieścił się wojenny szpital sowiecki. Od północy, pomiędzy budynkiem szkoły i fosą zamku, istniał wtedy sowiecki cmentarz. Spoczywali tam pochowani, zmarli w szpitalu z ran sowieccy żołnierze i oficerowie. Cmentarz ten w roku 1948 został zlikwidowany, a zwłoki poległych ekshumowano i przewieziono na cmentarz koło miejskiego stadionu i do Pułtusza.

Sowieci przebywali w Szczytnie jeszcze dwa lata. W 1947 roku koszary zajęło Wojsko Polskie i tak wreszcie formalnie w Szczytnie zaczęły się ponownie polskie rządy. Wcześniej pierwszy raz Polacy krótko zarządzali Szczytnem, Nidzicą i kilkoma sąsiednimi powiatami w roku 1410. Od 1525 r. do 1656 r. było to lenno Korony Polskiej, ale rządili Niemcy. (...)

Szczytno po 1945 r. było częściowo zniszczone. Cała ulica J. Stalina – obecnie Polska - była niemal doszczętnie spalona przez sowieckich wyzwolicieli. Z opowiadań Mazurów wynikało, że Sowieci rozniecali ogniska w budynkach mieszkalnych i tak po kolei wypalili znaczną część budynków na tej ulicy. Spalili też

budynek starostwa, dużej szkoły przy obecnej ul. Polskiej (Hindenburg Schule) i inny szkolny budynek, zlokalizowany przy Parku Miejskim. Pozostał tylko szkolny budynek przy ul. Kasprowicza, bo mieli tam szpital i drugi budynek szkolny za Jezioro Małym Domowym, naprzeciwko katolickiego kościoła.

Gdy przybyłem w listopadzie 1945 roku, Szczytno miało już energię elektryczną dostarczaną z agregatu pracującego w tartaku. Agregat ten uruchomił Pan Żugaj i dlatego gdy światło migotało, mieszkańcy mówili „Żugaj nie mrugaj”. (...)

### **Zabawa i nauka**

Niedaleko szkoły istniało wtedy kąpielisko przy Jeziorze Dużym Domowym. Tak nazywa się większe jezioro w Szczytnie. Podczas lata i upałów biegałem na dużej przerwie z chłopcami z piątej klasy się kąpać. Dopiero Pan Zaorski – nauczyciel - nas wyśledził i zabronił tych szybkich kąpeli. Miałem głowę nieproporcjonalnie dużą w stosunku do tułowia i trudno mi było nauczyć się pływać, ponieważ głowa tonęła szybko. Nauka pływania, a właściwie samouczenie trwało do końca lata 1946. Wreszcie popłynąłem 40 m do łańcuchów, które odgradzały istniejące wówczas kąpielisko od jeziora. W tym czasie w pływaniu rywalizowałem ze mną kolega o nazwisku Koczwara. Nauczył się szybciej pływać niż ja. Niestety, przecenił swoje możliwości i utonął na terenie tego nieistniejącego obecnie kąpieliska. Starszy brat innego szkolnego kolegi o nazwisku Łazicki, pochodzący z Chorzel, kilkakrotnie skakał do wody i wreszcie wydobyl topielca. Nie udało się go przywrócić do życia. Od tej pory byłem ostrożny w kąpeli i starałem się mieć asekurację, zwłaszcza później w pływaniu wzdłuż jeziora. Zawsze potrafiłem w Szczytnie ją sobie zapewnić. Nie nauczyłem się jednak skakać na głowę z wieży do wody. Doskonalenie pływania trwało dosyć długo, ale przed opuszczeniem Szczytna w 1952 r. pływałem latem, gdy było ciepło, tam i z powrotem wzdłuż jeziora, pokonując dystans 6 km.

Nauczyciele mieli mało kłopotu z uczniami chętnymi do nauki. Na korytarzach wisiały bez dozoru nasze ubrania i nikt ich nie kradł, może dlatego, że były raczej nędzne. W szkole od 1945 roku działała na piętrze kaplica. Ksiądz Władysław Łaniewski – katecheta - odprawiał wcześniej rano, codziennie mszę świętą, a w adwencie roraty. Niewielu uczniów uczęszczało przed lekcjami na poranne msze lub na roraty. Ja byłem ministrantem, chociaż ministrantura po łacinie nie była łatwa.

Ojciec pracował od rana do nocy i tylko w niedzielę mogłem z nim rozmawiać. Był dyrektorem Liceum Ogólnokształcącego, Liceum Wieczorowego, a także Kursów Przygotowawczych do egzaminu maturalnego dla pracowników Milicji i Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Dzięki tej ostatniej funkcji mógł pracować na stanowisku dyrektora do końca sierpnia 1953 r. Dzisiaj, w 2009 roku pewno IPN nazwałby Go współpracownikiem bezpieczeństwa. Ale przekazywana tym uczniom wiedza ogólna, a zwłaszcza wiadomości z historii Polski i języka polskiego nie pomagały w gnębieniu opozycji.

Rodzice chcieli także, abym nauczył się grać na pianinie i kupili mi ten instrument. Pianino stało w gabinecie taty. Najpierw muzyki uczył mnie prywatnie Pan Mężyński, nauczyciel śpiewu w szkole, a wcześniej organista. Sam dobrze grał na kilku instrumentach, lecz nauka nie dawała widocznych rezultatów, ponieważ nie mam zdolności muzycznych, a zwłaszcza pamięci muzycznej i tylko gra z nut szła mi nie najgorzej. Później uczęszczałem do Szkoły Muzycznej, gdzie spotykałem moją sympatię Teresę. W przeciwieństwie do niej, niewiele skorzystałem i był to dla mnie stracony czas.

Od piątej klasy należałem do ZHP. Było to Harcerstwo nawiązujące do tradycji dwudziestolecia międzywojennego. Kolega Józef Tulski, późniejszy pracownik naukowy - adiunkt Centralnego Instytutu Ochrony Pracy w Warszawie (dr nauk społecznych)- był pierwszym i ostatnim moim drużynowym. Z powodu niskiego wzrostu zamykałem zawsze szeregi drużyny. Uczestniczyłem chętnie w podchodach w lasach koło miasta i różnych harcerskich zajęciach. (...)

W 1947 roku do Szczytna przeniesiono resztki Liceum Krzemienieckiego. Faktycznie zaistniała tylko Szkoła Muzyczna, która funkcjonuje do dzisiaj. Pierwszym dyrektorem tej szkoły był dystyngowany Pan Gasze (piszę fonetycznie) – wirtuoz skrzypek. Ja kontynuowałem naukę gry na fortepianie w tej szkole. Jednak najbardziej podobały mi się lekcje słuchania muzyki, gdy Pan Skibniewski grał nam utwory muzyki poważnej. Tak poznałem niektóre utwory Chopina, Beethovena, Mozarta, Bacha, Szymanowskiego, Ravela i wielu innych znakomitych kompozytorów. Pan Skibniewski był świetnym pianistą, zaś jego brat profesor, architekt i urbanista był nazywany przez mojego profesora komunistą. Poznałem później także tego „komunistę”, który był porządnym Polakiem, a jego żona, Pani Halina Skibniewska – wicemarszałek Sejmu, walczyła o dostępność architektoniczną budynków, chodników i innych budowli dla niepełnosprawnych w czasach, kiedy w wielu państwach nikomu się o tym nie śniło. (...)

## **Ulica L. Waryńskiego (w latach 1945-1949 Władysława Gomułki), od 1949 ul. L. Waryńskiego a od 2000 ul. Ks. Władysława Łaniewskiego**

Zarówno w piątej klasie, jak i później w jedenastolatce, uczyłem się niezbyt dużo w domu. Tyle, ile było zadane do odrobienia, ponieważ miałem bardzo dobrą, fotograficzną pamięć. Tekst raz przeczytany lub wysłuchany, pamiętałem długo. Tylko w klasach czwartej i wyrównawczej musiałem się więcej uczyć w domu. Siadałem w szkole i później w gimnazjum, a także na Politechnice zawsze albo w pierwszym rzędzie, albo w drugim, aby usłyszeć na lekcji czy wykładzie jak najlepiej i jak najwięcej. Mając dlatego dużo wolnego czasu, zwiedziłem chyba wszystkie zakamarki miasta Szczytna i później także większość ulic Warszawy. Dotarłem w Szczytnie do wszystkich cmentarzy: katolickiego, ewangelickiego, baptyistów i żydowskiego, którego, o dziwo Niemcy nie zniszczyli. Przemaszerałem wszystkimi ulicami i podmiejskimi drogami, a latem spędzałem dużo czasu nad jeziorem i dużo pływałem w wodzie, a w latach 1951-1952 także kajakami i żaglówką. Gdy Tata kupił mi w 1948 r. rower „Junak”, jeździłem drogami i szosami we wszystkich kierunkach i poznałem dosyć dobrze okolice Szczytna wraz z podmiejskimi wsiami: Korpele, Szczycionek, Szymany, Romany, Lemany, Sędańsk, Janówek, Sawica i miejscowościami gminnych ośrodków takich jak: Pasym; Jedwabno; Dźwierzuty; Wielbark; Rozogi. W nieco późniejszym studenckim okresie podczas wakacji latem prawie codziennie jeździłem trasą do Dźwierzut, potem Pasymia i z powrotem do Szczytna, a sporadycznie bywałem na rowerze także w Biskupcu, Spychowie i innych bardziej odległych miejscowościach. Miałem w Szczytnie kilku kolegów, z którymi wyprawiałem się na rowerowe wycieczki. Często moim towarzyszem rowerowych wypraw był nieżyjący od 1956 r. Zdzisiek Kępski, mój serdeczny i niezapomniany kolega. Rower stał w piwnicy przy ul. Waryńskiego i nikt wtedy w Szczytnie do piwnicy się nie włamywał. (...)

Na terenie placu tartaczno-gospodarstwa Mierzejewskich urządzaliśmy zabawy. Graliśmy moją piłką w dwa ognie i w „nogę”, a ja, jako właściciel piłki byłem przywódcą tego towarzystwa. Piłkę razem z mamą wykonaliśmy sami ze skóry po naszej kozie, którą hodowaliśmy podczas wojny w Dłutowie. Udało się nam jeszcze w Dłutowie przy użyciu ałunu skórę dosyć dobrze wyprawić. Piłka może nie była najbardziej foremna, ale można było nią grać do woli. W szkole były normalne piłki, lecz do głowy mi nie przyszło, żeby sobie cokolwiek przywłaszczyć, a na nową nie miałem pieniędzy.

W szczycie naszego domu stał jeszcze w 1946 roku wrak niemieckiego ciężarowego samochodu z kołami na gaz drzewny. Dokoła tego wraka wałało się dużo słomy i aby się jej pozbyć, postanowiłem ją spalić na raty na oddzielnym miejscu, tak, aby nie zapaliła się od razu cała. Na początku palenie słomy odbywało się spokojnie, ale gdy na chwilę odszedłem od ognia, młodszy kolega Wojtek Pepiński, sąsiad z parteru, niosąc nową porcję słomy nie zauważył, że stworzył rodzaj lontu i zapłonęła cała ilość, zgromadzona na tym miejscu. Słup ognia sięgał okien naszego mieszkania na pierwszym piętrze i poważnie zagrażał mieszkającym na parterze sąsiadom – Państwu Pepińskim. Udało nam się jednak przygasić ogień i następnie systematycznie spaliliśmy resztę słomy. Stalową konstrukcję samochodu pocięliśmy piłkami do metalu na elementy, aby sprzedać na złom. W ten sposób udało się oczyścić teren wokół domu.

Przy domu istniał warzywniak i rosło trochę krzewów agrestu, porzeczek, malin a także było kilka drzewek owocowych: jabłonka, gruszka, śliwy i wiśnie. Ziemia była gliniasta i rodziło się wszystko dobrze, zwłaszcza po zastosowaniu obornika. Pamiętam smaczne jabłka papierówki i zimowe żółte słodkie jabłka, agrest w wielu gatunkach, czerwone, czarne i białe porzeczki, maliny i dużo wiśni i śliwek. Uprawialiśmy ten ogród z mamą, chociaż początkowo ziemię wiosną kopał tata i raz pomagał mu wujek Paweł Nowakowski, którego tata zatrudnił w szkole jako profesora matematyki, nie bacząc na to, że podczas wojny pod pseudonimem „Leśnik” był komendantem AK na trzy powiaty: Mława, Działdowo i Nidzica.

(...) Moja i moich nieletnich kolegów aktywność była duża. W magazynach późniejszej spółdzielni „Rolnik” za przejazdem kolejowym przy ulicy Niepodległości Sowietów pilnowali różnego wyposażenia, a był tam także magazyn broni. Dowiedzieliśmy się, że w magazynie są granaty i karabiny maszynowe. Na posesji Mierzejewskich istniały ruiny spalonej jeszcze na początku 1945 r. drugiej willei. W jej piwnicach postanowiliśmy zorganizować własną zbrojownię. Starsi koledzy zorganizowali bimber i papierosy, dzięki czemu udało się przekupić wartownika i przewieźliśmy skrzynię granatów do piwnicy. Służyły one do głuszenia ryb. Za drugim razem nie mieliśmy szczęścia, bo zdobyty za pół litra bimbru i papierosy karabin maszynowy „Maksim” i taśmy z amunicją, odebrał nam już dosyć daleko od magazynu Starszyna. Dołożył nam po kilkanaście pasów i zmusił pod pistoletem do odprowadzenia maszynki do magazynu. Pewno był w zмовie z magazynierem, bo otrzymali bimber i papierosy i nie dali nic w zamian. Musieliśmy się zbroić w inny sposób.

Dosyć daleko za Korpelami i domem Klenczonów (rodziców Krzysztofa Klenczona z zespołu Czerwone Gitary), pod lasem, na terenie żwirowiska, leżały poukładane w pryzmy pociski artyleryjskie. Chodziliśmy

tam czasami i rozbrajaliśmy duże pociski. Z mosiężnych gilz, po wyjęciu samego pocisku, wydobywaliśmy proch. Były to laski o długości 30 cm podobne do makaronu lub do rurek z wypełnieniem o krzyżowym przekroju. W każdej łusce były także woreczki z różnego rodzaju prochem. Kiedyś postanowiliśmy zobaczyć, jaki efekt da wybuch dużej liczby pocisków na raz. Co prawda wtedy było ich już znacznie mniej, bo Sowieci wywieźli dużą część tego składu amunicji. Pamiętałem z opowiadań mojego Ojca o prostym sposobie zainicjowania wybuchu. Wystarczy pocisk obłożyć drewnem i zapalić ognisko, a po niedługim czasie nastąpi detonacja. Tak też zrobiliśmy. Było nas dwóch, ja i syn nadleśniczego, Hubert D. Chodziło o zachowanie tajemnicy. Zaraz po zapaleniu ogniska szybko się oddaliliśmy do lasu „na jagody”. Rozpoczęły się eksplozje. W domach oddalonych znacznie od miejsca detonacji powypadały szyby. U Klenczonów chyba wszystkie. Przyjechali Sowieci i milicjanci. Myśmy się nie ujawnili nigdy. Przy resztkach amunicji wystawiono wartę i szybko zlikwidowano to składowisko.

Wydobyty z pocisków proch służył do całkiem innej zabawy. Wystarczyło wejść na najwyższe piętro budynku, nasypać do butelki trochę sypkiego prochu, zapalić makaron - laskę prochu, wysunąć tak napelnioną butelkę za okno na trzecim piętrze, włożyć niezapalonym końcem makaron do butelki i puścić. Butelka zanim doleciała do ziemi, z wielkim hukiem rozrywała się jeszcze w powietrzu na kawałki. Czasami rozrywała się na ziemi gdzie wałała się słoma i w ten sposób mogliśmy wywołać pożar. Dzisiaj za takie wyczyny trafilibyśmy do poprawczaka. Wtedy tylko jeden pan o nazwisku Rudziński, który mieszkał w pobliżu naszego „poligonu”, chciał nam pasem wybić z głowy te pomysły. Proch mieliśmy zmagazynowany w szklanym balonie. Kolega Hubert D. i ja taszczyliśmy ten proch w bezpieczne miejsce, gdy pan Rudziński nas zauważył i gonił z pasem w ręku. Od mojego domu nie było daleko, ale nie mogłem sprowadzić wrzeszczącego faceta do mojego mieszkania. Decyzja zapadła szybko. Postawiłem balon na ziemi. Hubert zapalił najdłuższy makaron i niezapaloną stroną wrzucił do balonu. Ja w tym samym momencie przykryłem tę bombę metalową dziurawą wanienką. Natychmiast daliśmy nura przez okienka do piwnicy wypełnionej słomianymi matami. Nastąpił wybuch. (...) Miałem dużo szczęścia, że nie straciłem nogi lub ręki, a może i życia podczas tych niebezpiecznych zabaw. Kilku kolegów szczęścia nie miało.

### **Pierwsze lata w liceum**

Do liceum trafiłem po ukończeniu klasy piątej szkoły podstawowej i było to dosyć duże wyzwanie, ponieważ brakowało mi wielu wiadomości z klas szóstej i siódmej, więc musiałem się intensywnie uczyć. Pomagała mi w tym bardzo mama, ale bez mojego bardzo dużego zaangażowania nie byłoby mowy o przejściu do następnej klasy. Z początku szło mi jak po grudzie, lecz powoli opanowałem materiał trzech klas w ciągu jednego roku i przeszedłem do następnej klasy nawet uzyskując dobre oceny. Miałem także dodatkowe zajęcia jak nauka gry na fortepianie i języka angielskiego, a także prowadziłem kasę w sklepiku szkolnym. Sklepek został przejęty ze Szkoły Podstawowej, gdzie funkcjonował od kilku lat. Poznałem wtedy, co to jest remanent, sprzedaż, koszty i na czym polega handel. Sam kupowałem i przynosiłem do sklepiku z piekarni Państwa Kasprzyckich z ulicy 3 Maja bułki, uzyskując dla sklepiku rabat. Niestety, pieniądze trzymałem początkowo w szufladzie swojego biurka i wymiana złotego pochłonęła dwie trzecie utargu z kilku dni. Od tego czasu lokowałem pieniądze codziennie na książeczkę oszczędnościowej w PKO. Praca w sklepiku dała mi praktyczne pierwsze podstawy do późniejszej działalności w firmie handlowej. Twierdzą teraz, że do władzy w gospodarce i polityce powinni być dopuszczani tylko ludzie, którzy przynajmniej prowadzili na własny rachunek stoisko z warzywami. Niestety, rządzą osobnicy, którzy się nawet taką działalnością nie skalali i umieją tylko wyciągać z budżetu legalnie lub nielegalnie pieniądze podatników.

Szkoła chciała zapewnić nam także kontakt z teatrem. Ojciec polecił mi, abym razem z kolegą pojechał do Olsztyna i zakupił bilety w Teatrze im. Jaracza. W Klewkach pociąg się wykoleił. Zdążyliśmy przygodnie zatrzymaną ciężarówką dojechać do Olsztyna przed zamknięciem kasy biletowej. Powrót do Szczytna odbył się bez przygód. Jazda do teatru nie była łatwa. Pociągi jeździły rzadko. Tata poprosił dyrektora Szpitala Powiatowego o wypożyczenie ciężarówki. Była także i druga. Pierwszą kierował sam dyrektor szpitala. Ja z panem Mężynskim siedzieliśmy w sfoferce obok kierowcy. Droga była śliska. Jednak nikomu nic się nie stało. Zapewne nie tylko ja, ale i większość koleżanek i kolegów była pierwszy raz w teatrze. Oglądaliśmy spektakl „Don Gil” Tirso de Moliny. Teatr im. Stefana Jaracza i spektakl wywarły ogromne wrażenie. Obecnie ( 2015) ten teatr po gruntownej modernizacji wygląda naprawdę wspaniale.

Szkoła organizowała także wycieczki krajoznawcze. Byłem w Zakopanem razem z całą moją klasą. Opiekował się nami pan prof. Leon Czerniewski. Mieszkaliśmy w wili „Wojciakówka” na Bystrym. Dwadzieścia lat wcześniej przebywała tam na kursie narciarskim moja mama, wówczas studentka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

W klasie dziewiątej należałem już do najlepszych uczniów, a współzawodnictwo w nauce było moją pasją. Jednakże czasu miałem niewiele, ponieważ skłoniono mnie i kilku kolegów do prowadzenia kursów dla analfabetów. Przez cały rok trzy razy w tygodniu z grupą starszych ludzi miałem zajęcia i rzeczywiście wszyscy moi podopieczni nauczyli się czytać i pisać, z czego byłem bardzo dumny, tak samo jak moi dorośli uczniowie. Ponowny pobyt w klasie dziewiątej opisałem wcześniej. Natomiast w klasie dziesiątej byłem już chyba najlepszym uczniem, prowadziłem wtedy bazę sportów wodnych, uczyłem się języka angielskiego, ale zaprzestałem nauki w Szkole Muzycznej. W wakacje w roku 1951 ukończyłem kurs żeglarski w Giżycku, także z wyróżnieniem. Nauczyłem się żeglować i zdobyłem sporo wiadomości z tej dziedziny. Klasa dziesiąta była także nauką występów na scenie, ponieważ zacząłem grać różne role w wystawianych wtedy szkolnych inscenizacjach. Występowałem w „Dziadach” wileńskich Adama Mickiewicza i „Balladynie” w podrzędnych rolach. Raz tylko grałem jedną z głównych, ale wówczas negatywnych ról. Byłem oficerem białogwardzistą, którego pochwycili rewolucjoniści. W tych inscenizacjach, reżyserowanych przez mojego Ojca, występowali między innymi „Kika” Krystyna Sienkiewicz, Witold Grabarczyk - ojciec obecnego aktora, który gra w serialu „Klan” rolę biznesmena Chełmińskiego” i inni.

### Jedenastolatka

Uprawiałem wszystkie sporty, jakie można było wtedy uprawiać, z boksem włącznie. Pływałem po kilka kilometrów dziennie podczas lata. Jeździłem na łyżwach i nartach zimą. Prowadziłem w latach 1951-1952 bazę sportów wodnych jedenastolatki, więc żeglowałem, ile było można. Uczestniczyłem w spływach kajakowych po mazurskich jeziorach i to takimi trasami, których wtedy nikt nie znał i teraz część z nich nie jest uczęszczana. Grałem mimo niskiego wzrostu w kosza i uprawiałem z sukcesem skoki gimnastyczne. Brałem aktywny udział w życiu szkoły. Z upoważnienia, a raz nawet bez upoważnienia, organizowałem zabawy szkolne. Gdy w modę weszły wagary na wiosnę, z całą szkołą poszliśmy do Szczycionka, jednak z mojej inicjatywy w klasach zostali uczniowie o kiepskich ocenach ze sprawowania i zagrożeni powtarzaniem klas. Potocznie miałem ksywę „dyrektorszcza”, ale wszyscy koledzy i koleżanki widzieli, że nie donoszę. Mój Ojciec, dyrektor jedenastolatki, nigdy mnie nie pytał o zachowanie kolegów lub koleżanek. Był dobrym i wymagającym pedagogiem, a także bardzo dobrym ojcem.

Aby poważnie myśleć o studiach wyższych, trzeba było uczestniczyć w działalności organizacji Związku Młodzieży Polskiej. Miałem najbliższą rodzinę, związaną z ruchem patriotycznym. Ojciec całą II Wojnę Światową działał w Armii Krajowej. Mój wujek, Paweł Nowakowski, który uczył mnie matematyki, był podczas wojny komendantem AK na powiaty Mława, Działdowo i Nidzica. (Tak, właśnie Nidzica, gdzie działali w AK Mazurzy). Wiedziałem, że albo będę miał dyplom Przewodnika Nauki i Pracy Społecznej, albo mimo bardzo dobrych wyników w nauce, nie dostanę się na studia z powodu „braku miejsc”. Działalem więc w ZMP i zostałem przewodniczącym koła w klasie, a także byłem instruktorem Komitetu Powiatowego ZMP w Szczytnie. Zresztą takimi instruktorami w latach 1951 i 1952 była większość kolegów i koleżanek z klasy maturalnej, a ja, skoro już się zaangażowałem, to postanowiłem wydębic pieniądze. Byłem najpierw krótko społecznym instruktorem, a później zatrudniony na 0,5 etatu za niewielkim wynagrodzeniem. Ta działalność polegała na organizowaniu zebrań istniejących kół ZMP w różnych wsiach i organizowaniu nowych kół. Były to niezbyt liczne koła, ale wiejska młodzież wtedy chciała wiedzieć więcej o świecie i jej część widziała w ZMP jakieś szanse na wyrwanie się do miasta. Działalem głównie w gminie Świętajno, gdzie gminnym instruktorem był mój dobry kolega Marian Glinka. Czasami nocowałem w gminnym lokalu ZMP, ale spało się tam na drewnianej ławie i za przykrycie służyły gazety, co latem nie było kłopotliwe, ale jesienią, zimą i wiosną w słabo ogrzewanym pomieszczeniu nie należało do przyjemności. Pewnej nocy nasz lokal został zaatakowany kamieniami przez nieznaną napastników. Wybili jedną szybę, ale podnieśliśmy alarm i przybyli milicjanci, jednak nie schwycili żadnego napastnika. Został spisany protokół i przekazany do powiatu, dzięki czemu, przy podejmowaniu decyzji o przyznaniu mi dyplomu Przewodnika Nauki i Pracy Społecznej stanowił dobry argument za wnioskiem i ostatecznie, jako „obrońcy socjalizmu” dyplom mi przyznano, chociaż z trudem, ponieważ wielkich wyników w tej pracy nie miałem, bo nie założyłem żadnego nowego koła. Pieniądze zarobione w ZMP przeznaczyłem na zbudowanie krótkofalowej radiostacji. Moim instruktorem był prof. Leon Czerniewski – fizyk. Niestety, było to przysłowiowe „uczył Marcin Marcina”. Zbudowałem tylko odbiornik radiowy, bo miałem schemat. Z nadajnika niewiele wyszło, ponieważ trzeba było ten fakt rejestrować w Urzędzie Bezpieczeństwa i uzyskać zgodę, a pan Leon Czerniewski szybko przeniósł się do Otwocka.

Prowadziłem także kółko chemiczne, lecz koledzy z chloranu potasu, siarki i węgla sprokurowali i zdetonowali duży ładunek kalichloru i próbowali także, czy sól się naprawdę pali po wyjęciu z nafty i wrzuceniu do wody. Było to w czasie, gdy odbywały się lekcje Gimnazjum Wieczorowego. Krzyki koleżanek, które powskakiwały na ławki, aby sól nie zniszczył im pończoch i donośna eksplozja kalichloru spowodowały,

że musiałem przerwać te eksperymenty. Wkroczył do akcji przeciw nam dyrektor wieczerówki Pan mgr Kazimierz Korkozowicz i poskarżył się ojcu, że wywołuję razem z koleżankami kolegami nieznośne hałasy w szkole. Tak zakończyło działalność kółko chemiczne. Ja jednak nadal samodzielnie prowadziłem dalej różne eksperymenty chemiczne i fizyczne, ale nie wytrzymałem długo, ponieważ podtrułem się chlorem powstałym w trakcie elektrolizy i mama sprzeciwiła się dalszym eksperymentom.

### Baza sportów wodnych

Na zachód od ulicy za szkolnym boiskiem istniała w latach powojennych duża drewniana budowla. Był to spory hangar na łódki i kajaki oraz piętrowy budynek z tarasikiem widokowym na jezioro na samym wierzchołku dachu. Istniał także „basen portowy” z drewnianym pomostem. Cały ten teren wraz z budynkami wykorzystywała harcerska drużyna wodna. Była to tylko nazwa, ponieważ drużyna posiadała tylko jedną łódkę wiosłową i uszkodzony bojer. Starsi koledzy z wodnej drużyny nie chcieli dźwigać łódki, więc postanowili ułożyć tory tartacznej kolejki, wyniesione z posesji naszych sąsiadów, Państwa Mierzejewskich. Aby zapewnić właściwy spadek toru, trzeba było zlikwidować na odcinku około dwóch metrów betonowe obrzeże basenu portowego. Dla moich kolegów nie stanowiło to trudności. Zostały założone odpowiednie ładunki wybuchowe, a „minerzy” ułożyli długi lont i zapalili. Nastąpił wybuch i nadbrzeże betonowe przestało istnieć. Gdy opadły dymy wybuchu, trzeba było kilofami i przecinakami wyrównać podłoże pod tory kolejki. W trakcie tej roboty przybiegli milicjanci z posterunku i pytali, gdzie nastąpiła eksplozja. Dymy z wybuchu się rozwiały, a my pracowaliśmy kilofami, młotkami i przecinakami, więc nie było oczywiste, że to my mamy coś wspólnego z wybuchem. Bardziej odważni, chyba kol. Przybyłek – późniejszy oficer Polskiej Marynarki Wojennej lub Drużynowy kol. Tadek Dziadak, który zmienił później nazwisko, powiedzieli, że wybuch nastąpił na półwyspie po drugiej stronie jeziora. Milicjanci uwierzyli, ale nasza praca została przerwana i poszliśmy do domów. Później nikt się tą eksplozją nie interesował, a kolejka funkcjonowała przez kolejne lata. Magistrat wkrótce spowodował rozebranie znacznej części budynku tej przystani i pozostał tylko hangar. Hangar ten i cały teren wraz z basenem portowym przejęła jedenastolatka. Powstała w ten sposób Baza Sportów Wodnych. Kierowali tą bazą kolejno uczniowie starszych klas pod nadzorem Profesora Zbigniewa Ruszkowskiego - nauczyciela WF.

Czas szybko mijał i w 1951 tata powierzył mi prowadzenie szkolnej bazy sportów wodnych. Na wyposażeniu był niemiecki bojer, kilka kajaków i otrzymana w 1950 r. łódka żaglowa klasy BM.

(...) Mając za sobą także doświadczenia w radiofonizacji szkoły, gdzie głównym nadajnikiem był duży radioodbiornik czeski „Tesla” z mikrofonem, myślałem o Politechnice i Wydziale Łączności, ale ostatecznie wybrałem Wydział Elektryczny ze specjalizacją Napęd Elektryczny i Automatyka Przemysłowa. Maturę ukończyłem z wynikiem bardzo dobrym z dyplomem Przodownika Nauki i Pracy Społecznej.



Uzyskałem najwyższą ocenę. Dyplomy otrzymali także Andrzej Rzakowski i Koleżanka Maria Rykowska. Oboje ukończyli medycynę.

Tak zakończył się mój pobyt w Szczytnie. Tata jeszcze tylko przez rok był dyrektorem Liceum Ogólnokształcącego i całej jedenastolatki. Marksiści rozpętali nagonkę na religię i Kościół Katolicki. Nowy kurator telefonicznie nakazał Ojcu zwolnić Katechetę Ks. Władysława Łaniewskiego. Tata oświadczył, że bez podstawy prawnej tego nie wykona. Wyrzuceni więc zostali z pracy dyrektor i katecheta. Ojciec dostał zakaz nauki i mógł być tylko bibliotekarzem.

Janusz Leśniewski kwiecień 1962

Szkoła prowadzona przez mojego Ojca była wówczas jedną dwóch najlepszych w Polsce. Miernikiem oceny była skuteczność nauczania. Otóż wszyscy absolwenci Liceum Ogólnokształcącego w Szczytnie, którzy zdawali egzaminy na wyższe uczelnie, zdawali je z dobrymi wynikami i nikt tych egzaminów nie „oblał”. Jednak nie wszyscy byli przyjmowani na studia, ponieważ okazywało się, że pomimo bardzo dobrej oceny na egzaminie wstępnym „brakowało miejsc”. Tak potraktowali „prawdziwi komuniści” mojego bardzo dobrego kolegę Benedykta Gutkowskiego. Jego Ojciec walczył pod Tobrukiem i Monte Cassino. Był dwukrotnie ranny. Dopiero po emigracji dużej liczby prawdziwych komunistów znalazło się dla kolegi miejsce na AGH, którą ukończył z wyróżnieniem.

Szczyć się tym, że w tym Liceum w roku 1952 na egzaminie maturalnym uzyskałem najlepsze oceny. Nawiasem mówiąc, nauka w Szczytnie dała mi bardzo dobre podstawy do studiów na Wydziale Elektrycznym - wówczas i dzisiaj, w 2015 roku, jednej z najlepszych uczelni technicznych w Polsce – Politechnice Warszawskiej. Studia ukończyłem w 1957 roku także z wynikiem bardzo dobrym, ale o tym piszę w innym rozdziale pamiętnika.